

Kameleon

Rafał Kosik

Kameleon



powergraph

Warszawa 2008

Copyright © 2008 by Rafał Kosik
Copyright © 2008 by Powergraph
Copyright © 2008 for the cover by Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik

Korekta: Maria Aleksandrow

Skład i łamanie: Powergraph

Projekt graficzny i okładka: Rafał Kosik

Dystrybucja:

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa

tel./fax 022 631 48 32, 022 632 91 55, 022 535 05 57

www.olesiejuk.pl



Wydawca:

Powergraph Sp. z o.o.

ul. Cegłowska 16/2, 01-803 Warszawa

tel./fax: 022 834 18 25, 022 834 18 26

www.powergraph.pl

e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-05-9

Printed in Poland

I

Noan stał, potrącany przez spieszących gdzieś ludzi, i patrzył w niebo. W gwiazdozborze Lisa przybyła nowa gwiazda! To nieoczekiwane odkrycie wprawiło go w takie osłupienie, że zapomniał o wszystkim wokoło. Torba wypadła mu z ręki i pacnęła o chodnik. Zadźwięczały kupione dziś gwoździe. Gwiazda była jaśniejsza od pozostałych. Nowa dziura w sferze niebieskiej, przepuszczająca blask z zaświatów. Noan obserwował niebo od kilku lat, ale nigdy nie spotkał się z pojawiającą się nagle gwiazdą.

Rozejrzał się. Światło gazowych latarni wydobywało odrapane, krzywe domki przedmieścia. Setki butów depczących bruk, stukot kół zaprzęgów, jednostajny szum rozmów. I ani jednego spojrzenia w niebo. Jakby nic się nie wydarzyło.

Ocknął się z zamyślenia. Podniósł torbę i skarcił się za tę chwilę nieuwagi. Szczęście, że nie został okradziony! Ojciec byłby wściekły. Szybkim krokiem dotarł do stajni, zapłacił koniuszemu i wyprowadził na zewnątrz konia. Noan znów spojrział w niebo. Gwiazda nadal tam była.

Nowa gwiazda...

Wsiadł na konia i wolno ruszył. Czekają go niemal dwie godziny drogi do domu. Czas na przemyślenia. Nowa gwiaz-

da... Wszyscy mówili, że gwiazdy są dziurami w sferze niebieskiej. Więc nowa gwiazda to nowa dziura. Jeśli tak, to czemu na nieboskłonie nie ma rozpruć, przetrąć jak w płótnie czy skórze? Cemu są tam tylko świetliste punkty? Noan nie dawał wiary temu gadaniu. Wyobrażał sobie gwiazdy jako płomyki odległych lamp. Skoro Słońce jest wielką ognistą kulą rozświetlającą ziemię i niebo, to czemu gwiazdy nie mogły być małymi płomykami? Dzieci, które nie usłyszały jeszcze o dziurach, wpadały często na rozmaite pomysły. Noan, gdy był mały, słyszał wiele takich opowieści. Najbardziej podobała mu się ta, mówiąca, że gwiazdy to robaczki świętojańskie, które przysiadły na chwilę na nocnym niebie. Wierzył w to do czasu, aż zauważył, że układ gwiazd, z wyjątkiem kilku najjaśniejszych, jest niezmienny. Ale nie zdradzał się przed nikim ze swoimi przemyśleniami. I tak mieli go za dziwaka.

Droga z miasta na farmę była pokryta ubitą gliną, po obu stronach rosły topole. Gdy przez wiele dni padały deszcze, zamieniała się w grzęzawisko. A że jesień zadomowiła się na dobre, teraz Noan odwiedzał miasto nawet dwa razy w tygodniu. Czasem, jeśli ładunek miał być ciężki, brał wóz. Musiał zdążyć ze sprawunkami, nim droga stanie się całkiem nieprzejezdna.

Płomyki odległych lamp – to rozbudzało wyobraźnię. Ktoś musiał te lampy zapalać, czemuś musiały służyć. Cemuś musiała służyć również ta nowa lampa.

Pograżony w rozmyślaniach dotarł do farmy. Odprowadził konia do stajni i rozkulbaczył go. Wszedł do sieni na palcach – wszyscy już spali. Noan sam podjął się zadania wypraw na targ. Niektóre sprawunki załatwiał jeszcze późnym wieczorem. I choć szczerze nienawidził kupczenia, to jednak dzięki temu nie musiał wstawać skoro świt i mógł spędzać noce na obserwacji nieba. Miał przestawiony rytm dnia i był z tego zadowolony.

Na palcach wspiął się na poddasze, gdzie pozwolono mu mieszkać (ojciec nawet się ucieszył, że zwolniła się jedna izba). Zapalił lampę naftową, najciszej jak potrafił, otworzył

klapę w dachu i wstawił na podwyższenie trójnog z teleskopem. Wycelował we właściwy fragment nieba i ustawił ostrość. Nowa gwiazda była zdecydowanie jaśniejsza od pozostałych. Sięgnął pod łóżko po księgę, w której, odkąd skończył trzynaście lat, szkicował mapy nocnego nieba. Otworzył oprawioną w skórę okładkę i przekładał sztywne kartki, aż znalazł odpowiednią stronę. Przejechał palcami po szorstkim papierze. Wyjął korek z kałamarza, umoczył pióro w niebieskim atramencie i postawił kropkę między zaschłymi rok wcześniej kropkami, z boku pozostawiając miejsce na współrzędne i opis.

Wpatrywał się w oko teleskopu jeszcze długo, próbując przebić wzrokiem tajemnicę skrytą za mało precyzyjną optyką. Przerwał, dopiero gdy ból pleców był już nie do wytrzymania. Jęknął i wyprostował się. Przetarł oczy, zmęczone od wpatrywania się w jeden punkt. Zamknął je, ale wciąż pod powiekami miał powidok nowej gwiazdy.

Nowa gwiazda! Chciał wybiec na dziedziniec i krzyczeć o swoim odkryciu! Nie... nie było komu opowiedzieć. Wyśmialiby go i zbesztali. Gwiazdy, też coś! Zaczęłaby się awantura. Noan wiedział, że tej nocy długo nie zaśnie. Będzie się gapił w poczerwiałe krokwie i rozmyślał do brzasku.

Nowa gwiazda...

* * *

Obudziło go słońce, wpadające przez małe okienko. Na dole trwała praca. Od dwóch albo trzech godzin.

Ubrał się i zszedł do izby kuchennej. Hanni krzątała się przy stole, nad którym zwisały wiązki suszonych ziół, czosnku i papryki. Kroiła owoce na zimowe przetwory. Długie, złote włosy kołysały się, gdy małą rączką wkładała do wielkiego słoja równe cząsteczki jabłka. Pokroiła ostatni owoc i odwróciła się, sięgając po następny kosz, stojący obok starego kredensu.

— Zobaczyłeś wczoraj coś ciekawego? — zapytała.

Do kuchni wszedł Pachzan, starszy brat Noana. Obrzucił chłopaka niechętnym spojrzeniem i zaczął szperać w szafkach.

— Na niebie pojawiła się nowa gwiazda — odpowiedział cicho Noan.

— A w płotach kilka nowych dziur — warknął Pachzan. — Dziś wstałeś jeszcze później, darmozjadzie. Pogadam z ojcem o tym twoim świecidełku.

Wyszedł, trzaskając drzwiami. Hanni uśmiechnęła się przepraszająco, jakby to była jej wina, i sięgnęła po kolejne rumiane jabłko.

Na stole leżał przykryty lnianą serwetą kozi ser, a obok chleb, który od śniadania zdążył się nieco zeschnąć. Noan nalał sobie z dzbana kompotu z gruszek, usiadł za stołem i zaczął żuć chleb. Patrzył w okno, na kołyszące się wolno konary starego orzecha. Dziś nie musiał jechać do miasta, co oznaczało konieczność wykonywania jakiejś pracy w gospodarstwie. Policzył, ile godzin pozostało do zmierzchu, i jego myśli znów powędrowały do nowej gwiazdy.

Wepchnął do ust ostatni kęs, podszedł do okna. Oparł się o parapet i zmrużył oczy od blasku słońca. Ciemne włosy opadały mu na czoło. Widział konary orzecha, wzgórza pokryte łąkami i stado kóz. Gdzieś dalej był płot, a nawet kilka płotów, które zagradzały zwierzętom drogę do wolności. Noan nie pamiętał, by mimo ciągle pojawiających się dziur, kiedykolwiek jakaś koza próbowała ucieczki. Po co miałyby uciekać? Tu było im dobrze, a nie wiedziały przecież, że i tak ostatecznym sensem ich istnienia jest nakarmienie ludzi własnym ciałem.

Dziś nie miał zamiaru narzekać, chciał pracować aż do zmierzchu, by ojciec nie miał okazji do pretensji. Nawet wolał obejść te wszystkie płoty i nie być narażonym na niczyje towarzystwo. Wolał rozmyślać i zająć jakoś czas pozostały do kolejnej obserwacji.

Nowa gwiazda, nowa gwiazda...

Na podwórzu parobkowie rozmawiali swoim prostym językiem o zbliżającej się linii frontu. Noan słuchał bez zainte-

resowania – pomimo zaciętego oporu Enagoru armia Sinevaru posuwała się na południe i już oblegała twierdzę Midaron. To było miesiąc temu. Od tego czasu twierdza mogła już paść. Król rozważał wprowadzenie poboru powszechnego. Znaczyło to mniej więcej tyle, że każda rodzina będzie musiała oddać armii jednego syna. Noan nie miał wątpliwości, kto to będzie w przypadku rodziny Ramachów. Pachzan we wszystkim pomagał ojcu, przejmował powoli jego obowiązki. Noan za to był nieudacznikiem i leniem. Przynajmniej w przeświadczeniu ojca.

Chłopak wziął z szopy nowe żerdzie, narzędzia i załadował to wszystko na dwukołowy wózek. Wymknął się chyłkiem, nim ktokolwiek zdołał przydzielić mu dodatkowe bzdurne zadanie.

Wózek skrzypiał, a Noan szedł drogą i rozmyślał. Jeśli ojciec odda go na służbę w armii, to ile przetrwa? Gotów był założyć się, że nie doczeka pierwszej bitwy, prędzej zabiją go towarzysze. Czy wrogiem będzie mu armia Sinevaru, czy tylko własny dowódca i żołnierze w takich samych mundurach?

Zwolnił, gdy tylko dachy farmy skryły się za pagórkiem. Otrząsnął się z ponurych myśli. Nie pójdzie do wojska. Rządzący wiedzą przecież, co się opłaca. Wyżywienie dla armii i produkcja broni są równie ważne. Nie będzie poboru.

Skręcił w boczną, zarośniętą dróżkę. Nieużywana od lat, prowadziła wprost do miejsca, gdzie kończył się kamienny mur i zaczynał drewniany płot. Mur budowano w czasach, gdy rodzina Ramachów była najbogatsza w okolicy. Kiedy za sprawą spadku cen mięsa zubożeli, grodzenie pastwisk dookończono drewnianymi płotami. Było to ponad dwadzieścia lat temu i teraz, niemal jednocześnie, wszystkie płoty zaczynały się rozpadać.

Nowa gwiazda... to znacznie przyjemniejsza myśl od poboru i dziurawego płotu. Uniósł głowę, ale oczywiście było jeszcze za jasno, aby dojrzeć gwiazdy.

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Dziewczyna w prostej białej sukience biegła po łące. Złote włosy falowały w powie-

trzu jak łany zboża na wietrze. Tanur, córka starego Pamisha, nie musiała pracować. Kiedyś Pamish był biedny, ale to było kiedyś. Teraz Pamishom wiodło się zdecydowanie lepiej niż Ramachom. Mieli wielu parobków, więcej bydła, więcej ziemi. Więcej wszystkiego. Ojciec Noana ciężko to przeżywał. Przestał się nawet odzywać do sąsiada.

Chłopak oparł się o chybocliwy płot. Trawa po drugiej stronie była lepsza, zieleńsza, bardziej soczysta. Tanur biegła po zieleńszej trawie. Przystawała, zrywała kwiat i biegła dalej. Chłopak obserwował ją ukryty za płotem, aż jasna postać zniknęła za wzniesieniem. Zaciśnął dłonie na żerdzi. Czuł jakąś dziwną słabość w kolanach. Mieć tyle czasu i marnować go na zrywanie kwiatów!

Przez resztę dnia z zapamiętaniem przybijał żerdzie, wkopywał głębiej spróchniałe słupki. Nie dbał o to, ile przetrwa jego partanina. Musiał dać upust nagłej wścieklej sile, której źródło nie było dla niego jasne.

Do domu dowlóknął się o zmroku. Ramiona, nieprzywykłe do takiej pracy, bolały jak obite. Obszedł całą długość ogrodzenia i naprawił je.

W głównej izbie, przy lampie oliwnej siedział ojciec, oparty łokciami o stół. Noan nałożył sobie stygnącego rzadkiego gulaszu i usiadł naprzeciwko. Czerstwa twarz ojca wydała mu się obca. Noan stwierdził z zaskoczeniem, że ojciec wygląda staro, pomarszczył się, brakowało mu kilku zębów. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz przyglądał mu się z bliska. Zwykle unikał jego wzroku, przemykał chyłkiem, by nie została mu przydzielona kolejna praca. Jadł posiłki, gapiąc się w talerz. Teraz jednak ojciec patrzył mu prosto w oczy. To nie był zwykły wieczór ani zwykłe siedzenie ojca przy stole. Noan z trudem przełykał kolejne kęsy. Lampa oliwna oświetlała połowę twarzy. Domownicy gdzieś zniknęli, jakby wiedzieli, co ma nastąpić.

— Masz osiemnaście lat, synu — obcy człowiek poruszył zaciśniętymi wargami. — Jesteś dorosły. Pora skończyć z dziecinadą. Nawet parobkowie już się z nas śmieją.

— Ręk nie czuję. Pracowałem cały dzień.

— Nie cały dzień, tylko od południa do zmierzchu. — Ojciec gestem uciszył protesty, szorstką dłońią potarł czoło. — Zbliża się zima. Mamy mało zapasów, a podatki rosną z powodu wojny. Nowe prawo mówi, że państwu należy się trzecia część wszystkiego. Rok temu była tylko piąta część, a i tak ledwo doczekaliśmy wiosny. Nie wykarmimy całego stada kóz. Sprzedamy połowę. Jedną świnię ubijemy. Będziemy musieli odesłać trzech parobków, bo nie mam im czym zapłacić. Zaczynają się wykopki. Pracy będzie więcej, ręk mniej.

— Ale...

— Od przyszłego tygodnia koniec z wylegiwaniem się. Będziesz wstawał o świcie i pracował jak inni.

Noan zamknął oczy. Jak wytłumaczyć, że on, Noan, jest stworzony do czegoś innego? Jak powiedzieć, że przewalanie gnoju to dla niego strata czasu?

— Marnujesz czas i siły na bezużyteczne gapienie się w niebo — ciągnął ojciec. — Najwyższa pora, żebyś pokazał, że jesteś mężczyzną, i zadbał o rodzinny dom. Nie możesz być darmozjadem.

To robota Pachzana! – zrozumiał Noan.

— Nie mogę zrezygnować... — odezwał się niezdecydowanie.

— Synu. — Ojciec nachylił się nad stołem. — To nie jest prośba. Jak się nie opanujesz i nie weźmiesz do uczciwej pracy, będziesz szukał nowego domu.

Noan wałnął pięściami w stół, zerwał się i wbiegł na swój strych. Rzucił się na łóżko. Praca! Machanie kosą, zbieranie siana, karmienie zwierząt... Przykry dodatek do prawdziwego życia! Zajęcie dla prostaków... Ilekroć musiał pracować, czuł się poniżony, wykorzystany. Teraz miało się to dziać co dzień!

Jednak, kiedy nieco ochłonął, oczyma wyobraźni zobaczył biegnącą po łące Tanur. I znów poczuł tę dziwną niemoc w kolanach. Trwało dobrych parę minut, nim pozbył się i tego obrazu. Wstał, zrobił kilka głębokich oddechów, pochylił

się nad okulem teleskopu i skupił na obserwacji nieba – jedynej czynności, która dawała mu spokój ducha, wprawiała w dobry nastrój. W pierwszym momencie poczuł rozczarowanie, nowej gwiazdy nie było bowiem w miejscu, gdzie powinna być, na górze gwiazdozbioru Lisa. Jakby odebrano mu własność, ukochaną zabawkę. Spojrzał na niebo gołym okiem. Gwiazda tam była! Sprawdził szukaczem i skorygował ustawienie pokręteł. Była tam. Obok. Przesunęła się nieznacznie względem innych gwiazd. Gwiazda wędrowną czy błąd poprzedniego pomiaru? Otworzył księgę i zapisał pozycję skorygowaną o dwa stopnie. Pochylił się nad papierem, zmarszczył brwi. Dwa stopnie... duży błąd. Długo wpatrywał się w nią, zupełnie pomijając inne obszary sfery nocnej. Po raz pierwszy od wielu miesięcy nie zanotował pozycji innych gwiazd wędrownych. Wreszcie wyprostował się, czując znajomy ból w plecach. Zestawił teleskop z podestu i cicho zamknął kłapę. Położył się do łóżka wcześniej niż zwykle – praca przy ogrodzeniu jednak dała mu się we znaki.

Zamknął oczy.

Tanur biegnąca po łące.

Nowa gwiazda biegnąca po niebie.

II

Sześć potężnych dysz rufowych pluło seriami jasnych eksplozji w kierunku rosnącej z wolna błękitnej planety. Stumetrowy kompozytowy kadłub statku USS „Ronald Reagan” opalizował szarością w świetle słońca. Był czysty, bez charakterystycznych zacieków czy osmaleń – statek nigdy nie miał kontaktu z atmosferą, teraz również jedynie wchodził na orbitę. Dlatego też pełen był kanciastych nieregularności, sterczących anten i czujników, aerodynamika była bez znaczenia. Funkcjonalność układu wewnętrznego wymusiła jednak kształt przypominający kostropaty migdał i prowokujący domysły o próbach nadania kadłubowi przynajmniej pozorów opływowości.

Statek budził się do życia. Kolejne korytarze rozjaśniały się zimnym światłem, startowała klimatyzacja. Powietrze rozgrzewało się od temperatury minus sto trzydzieści stopni, w jakiej było utrzymywane, z zerową wilgotnością, przez kilka lat podróży. Przez najbliższe godziny po pokładach nieść będą się trzaski i stuki rozszerzających się elementów konstrukcyjnych. W hibernatorium, w podwójnych półkolach stało kilkanaście szklano-plastikowych tub, połączonych ze ścianami wiązkami przewodów. Panele sterujące pięciu hi-

bernatorów odliczały godziny do wybudzenia. W dole startowały sprężarki układów pneumatycznych, pompy sterujące hydrauliką zwiększały ciśnienie w układach. Cykały przełączniki elektryczne, testowane po długiej bezczynności. W sterowni zapalały się kontrolki i lampy nocne. Przed fotelami zamigotały ekrany konsoli, rozpoczęły sekwencję sprawdzania obwodów sterujących. Włączył się wielki ekran, opasujący pół pomieszczenia. W centralnym miejscu wyświetlił powiększony obraz błękitnej planety. Po bokach przesuwało się kilkadziesiąt słupków cyfr i liter raportów startujących systemów.

Gdy wyłączyły się silniki impulsowe, temperatura atmosfery ustabilizowała się. Sztuczna grawitacja płynnie wzrosła z kilku procent mocy do stałego obciążenia jeden G, na co wyposażenie pokładów zareagowało kolejną serią trząsek, jęknęć i pisków.

Pierwsze obudziły się otulone miękkim żelem robotnice formicytów.

III

Noan stał przed witryną sklepu naukowego. Witryna, to za dużo powiedziane – wąska szyba wprawiona w krzywą ramę, obok spękanych drzwi, poniżej skromnego szyldu „Wytwory umysłu”. Ciasna uliczka zakończona murem, dwóch roślących mężczyzn musiałoby się mijać bokiem. Może raz w tygodniu ktoś tu zaglądał. Przez przypadek.

Nadciągał wieczór, w oświetlonym, absurdalnie wąskim przesmyku końca uliczki pojawiali się na pół sekundy spieszący w obie strony ludzie, migały telepiące się na nierównym bruku wozy. Chłopak spojrzał w górę. Nieregularne ściany domów tworzyły tu wąwóz, na niebie widać już było gwiazdy. Szczególny efekt. Noan wiedział, że gdyby wyszedł teraz na główną ulicę, gwiazdy by znikły. Jego wzrok znów spoczął na witrynie. Kilka pawich piór ze złotymi stalówkami, zwoje map, kompas i mikroskop. Wszystko ciasno ułożone na piaskowym aksamicie, zakurzone. Na nic więcej nie było miejsca.

To tu właśnie zakupił swój teleskop. Od kiedy go zauważył w witrynie, zaczął regularnie wyrzucać nieczystości u wylotu uliczki i oddawać mocz na ścianę, by zniechęcić przechodniów do zapuszczania się tutaj. Nie wahał się, po-

zbawiając Pachzana i Hanni pieniędzy po matce. Powierzyła mu je przed śmiercią, z zaleceniem, aby podzielił się nimi z rodzeństwem. Ale oni – cóż zrobiliby z taką fortuną? Kupiliby kolejne stado kóz, świnię albo ziarno. A przecież to on był oczkiem w głowie matki, spadkobiercą niegdysiejszej świetności jej rodu, przeznaczonym do wyższych celów niż ten prostak Pachzan czy głupiutka Hanni.

Kiedy nabył już obiekt swoich marzeń, sprzedawca wydawał się bardzo zadowolony, nawet nie tyle z udanej transakcji, ile z tego, że mógł wreszcie usiąść prosto – rozstawiony statyw zmuszał go do opierania się jednym barkiem o ścianę. Sklepik był ledwie klitą wykradzioną z budynku, jakby zbyt wąską szczeliną między źle zaprojektowanymi ścianami. Nie opłacało się nawet wykorzystywać jej jako schowek.

Noan pchnął drzwi. Zaskrzypiały przeraźliwie. Człowiek, wchodząc tutaj, miał wrażenie, że połyka go jakieś ogromne zwierzę. Krzywe, pokryte zaciekami ściany zbiegały się w końcu sklepiku, niemalże tworząc odwrócony klin. Sufit też był krzywy, a do tego przedziwnie wysoki. Wszystko to, w świetle migotliwej lampki, zdawało się poruszać, drgać.

Sprzedawca uniósł zdziwiony wzrok znad księgi, którą czytał nieprawdopodobnie zgarbiony. Był łysym, chudym człowieczkiem, mrużył oczy zza okrągłych okularów. Musiał mieć z siedemdziesiąt lat, a żył chyba tylko dlatego, że nawet śmierć tutaj nie zaglądała. Zmrużył oczy jeszcze bardziej, wpatrując się w chłopca, stojącego na wyciągnięcie ręki. Wreszcie się uśmiechnął.

— Mój najlepszy klient — zaskrzeczał. Odchrząknął i zapytał nieco wyraźniej — niebieski inkaust się skończył?

Na półce po prawej stronie wciąż widać było pokryte cieńszą warstwą kurzu ślady palców Noana, które zostawił tu na wiosnę, sięgając po butelkę z atramentem. Nie musiał go tutaj kupować, bliżej targu był przecież duży sklep z artykułami piśmiennymi, ale każdy pretekst był dobry, by tu zajrzeć. Wnętrze sprawiało wrażenie, jakby nic się tu nie zmieniło od ostatniej wizyty. Nie! Przybyła jedna rzecz, do-

syć oryginalna. Kula, wielkości ludzkiej głowy, osadzona obrotowo na drewnianym stojaku. Na jej powierzchni wyrysowano mapę dużego obszaru.

— Przyszedłem zobaczyć, co ma pan nowego — odparł chłopak, dotykając kuli. Była lekka, pusta w środku, dawała się obrócić w mocowaniu. Z drugiej strony była niezarysowana. Po co mapę umieszczać na kuli?

Przyjrzał się jej z bliska, na ile pozwalało kiepskie oświetlenie. Cała powierzchnia była dokładnie zaklejona wrzecionowatymi paskami papieru i pokryta lakierem. Sprzedawca nie odpowiedział. Chyba zapomniał o obecności klienta, bo pochylił się nad książką. Niemal wodził nosem po papierze. Mruczał coś ledwo słyszalnie. Chłopak stał na środku sklepu i zabawne, mógł bez ruszania się z miejsca dotknąć każdej ze ścian. Albo kiwającej się rytmicznie łysiny sprzedawcy. Obrócił się ostrożnie, lustrując półki i półeczki. Cyrkle, linijki, szkła powiększające. Mosiężne mechanizmy trybowe. Zauważył ciekawy przyrząd, powstały z połączenia skomplikowanymi popychaczami dwóch piór – zapewne służył do pisania na dwu arkuszach naraz.

Rzucił pożegnane spojrzenie i z zalem wyszedł, skrzypiąc drzwiami. Sprzedawca nawet nie uniósł głowy, zamknięty w swoim świecie.

Ulicą maszerował oddział wojska. Właściwie to starał się maszerować. Setka mężczyzn różnego wzrostu, wieku i tuszy próbowała iść tym samym krokiem i nie deptać po piętach poprzedniemu szeregowi. Armia zaciężna? Ochotnicy, za marny żołd zdecydowani nadstawiać karku za Enagor. Nie trzeba się znać na sztuce wojennej, by widzieć, że ci tutaj nie przeszli zbyt intensywnego szkolenia. Noan odprowadził ich ponurym wzrokiem. Widział siebie w podobnej kolumnie. Mięso armatnie. Bez sensu. Absolutnie bez sensu. Jak zwierzęta.

Skierował się w stronę targu. Po to tu właściwie przyjechał. Miał kupić parę rzeczy, a głównie materiał na worki, ale też suszone zioła, które nie rosły na ziemi należącej do

ojca. Nadchodził czas gromadzenia zimowych zapasów. Ceny szybko rosły, nie warto było czekać.

Najlepsze miejsca, tuż przy głównym wejściu, zajęli ostatnio handlarze bronią, spychając innych dalej. Można było od nich kupić wszystko: sztylety, miecze, kolczugi, pistolety skałkowe, wymyślne rodzaje broni ukrytej w niewinnych z pozoru przedmiotach codziennego użytku. Za godziwą cenę kupiłoby się nawet muszkiet, którego posiadanie przez mieszczan było zabronione. Zbliżająca się wojna wciskała się w umysły ludzi i militarny interes prosperował doskonale.

Noan kupił materiał u pierwszego napotkanego kupca i teraz wypatrywał bednarza i kaletnika. Powinien iść do ich pracowni, by kupić taniej, ale to wymagało czasu, który miał zamiar poświęcić na bardziej pożyteczne sprawy. Obszedł pół targu. Poszukiwani rzemieślnicy też przenieśli się w inne miejsce.

Nagle jego wzrok wychwycił znajomą twarz. Tanur! Ale nie sama. Z dwoma braćmi. Kupują jedwab, najdroższe owoce, najlepsze przyprawy. Dziewczyna miała na sobie zieloną, bogato zdobioną suknię, długą do samej ziemi. Nie musiała sama jeździć na targ, mogła się tym zająć służba. Widocznie więc sprawiało jej to przyjemność. Wybierała najlepsze jabłka, śliwki, woreczki z przyprawami, świecidełka i wrzucała do przewieszzonego przez ramię koszyka. Płaciła, nie targując się.

Noan gapił się na nią bezmyślnie, aż napotkał rozbawiony wzrok jednego z jej braci. Drugi spojrzał na niego zdecydowanie mniej przyjaźnie. Noan zacisnął zęby i odwrócił się. Krew pulsowała mu w skroniach. Wszedł między stragany z drewnem. Chwilę kluczył po targowisku, objając się o ludzi. Wreszcie podjął decyzję i skierował swe kroki ku małej uliczce odchodzącej od szerokiej alei wstydliwie, pod kątem. Reszta zakupów mogła poczekać – w domu skłamię, że nie było dobrego towaru. Uwierzą mu, a jeśli nie, to sprawdzić i tak nijak nie zdołają.